

Jerzy Ziomek

Strzeż się diarysty!

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 5 (23), 149-154

1975

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Strzeż się diarysty!

1

Pisanie pamiętników czy dzienników może być potrzebą duszy, modą, posłannictwem. Tak samo jak pisanie powieści lub listów. Pisanie pamiętników czy dzienników może być także sztuką. Tak samo jak pisanie powieści lub listów. Różnią się przecież te gatunki stopniem „artystycznej obligatoryjności”, co prościej można wyrazić w ten sposób: powieści bardziej „wypada” być dziełem sztuki niż listowi. List może okazać się dziełem literackim, ale przecież zazwyczaj jest naprawdę skromnym komunikatem, powiadomieniem, nawet jeśli jest skropiony łzami. Nielicznych tylko profesjonalistów dręczy lub raduje myśl, że list trafi kiedyś może do druku bądź to ze względu na osobę nadawcy, bądź to dla ważności adresata.

Pamiętnik i dziennik umieścimy gdzieś pośrodku między powieścią a listem. Pamiętnik bliższy jest powieści, dziennik listowi. Pamiętnik jest zapisem zapamiętanej przeszłości z perspektywy teraźniejszej autora, który zna znaczną część skutków wydarzeń opowiedzianych. Dziennik jest zapisem bieżącym autora niepewnego swej przyszłości.

Że ludzie piszą pamiętniki i dzienniki dla pamięci — to rzecz oczywista i banalna. Wcale natomiast niebanalny jest problem ludzkiego stosunku do własnej pamięci. Odmian zachowania wobec możliwości i potrzeby pamiętania jest mnóstwo i pewnie dałoby się zbudować dokładną i skomplikowaną systematykę (pewnie takowa istnieje). Na użytek genologii literackiej rzecz upraszczając, wyróżnię dwa podstawowe typy, które pozwolę sobie nazwać typem diarystycznym (dziennik) i memuarystycznym (pamiętnik).

Diarystów cechuje skrzętna zapobiegliwość w chwytaniu chwili na gorąco, w nerwowym lęku przed niszczącym wpływem czasu; memuarystów — rozrzutna lekkomyślność, której potem gorzko żałują i którą naprawiają, spisując (zazwyczaj w wieku średnim) to, co było i o czym się myślało. Bywają wreszcie ludzie, którzy nie piszą ani dzienników, ani pamiętników, którzy jednak (jeśli ta amatorska psychologia ma odrobinę sensu) kryją w sobie cechy charakteru diarysty lub memuarysty, rzadko w czystej postaci występujące. I tak na przykład piszący te słowa ocenia siebie na 80% memuarysty, 18% diarysty, 2% nieistotnych odpadków¹.

Wbrew zatem własnym skłonnościom zajmę się tu właśnie dziennikami, a nie pamiętnikami („wbrew” = dlatego). Jako potencjal-

¹ Plagiat z Witkacego (*Gyubal Wahazar*, akt II).

ny memuarysta dziwie się diarystom i pytam, jaki związek zachodzi między strukturalnymi właściwościami gatunku a predyspozycjami psychicznymi. Odpowiedź znajduję w formule: *Apellatio ab auctore peius informato ad se ipsum melius informatum* (odwołanie się od autora gorzej poinformowanego do siebie samego lepiej poinformowanego²). Jest tu więc autor substancjalnie tożsamy ze swoim czytelnikiem. Cały sens i smak diarystyki polega na założeniu lub przypuszczeniu, że ów „ja”, czytający siebie samego po latach, będzie zarazem tym samym i zarazem innym „ja”, dziwiącym się sobie, swojej tożsamości i inności. Nie ma diarystyki bez tego wyzwania rzuconego przyszłości, wyzwania i gry, której wynik może być radością lub satysfakcją, ale i wstydem lub bólem,³.

To, co mówię, odnosi się do diarystyki „czystej”, bezinteresownej, idealnej, takiej, której autor jest naprawdę jedynym przewidzianym czytelnikiem. Czy ktoś takie dzienniki pisze? Może pensjonarka, która bezbłędnie trafia w reguły genologiczne, gdy dokonuje swoistej personifikacji dziennika („Kochany dzienniczku, już dawno ci się nie zwierzałam...”), jeszcze nieświadoma pułapek gatunku. Może wyrafinowany „intymista”, który zna wszystkie niebezpieczeństwa takich dokumentacji i w lęku przed czytelnikiem niepożądanym sztyfruje wszystko (zazwyczaj nadaremnie, ale to już inna sprawa).

Stosowanie reguły apelacji do siebie samego może być obłudne: autor przysięgłby, że pisze dla siebie, ale kryguje się i pozuje, bo węższy czytelnika; i chciałby, i boi się, że go ktoś podpatrzy. Diarystyka jest odwrotnością *voyeuryzmu*.

Ale bywają dzienniki świadome swego przeznaczenia lekturowego. Piszą je artyści i politycy. Oni wiedzą, że po pewnym czasie zajrzy do szuflady badacz-edytör, który dla dobra powszechnego udostępni wyznania prawd i kłamstewek, faktów i wrażeń. Diarysta może liczyć na lojalność wydawcy, który przedwcześnie nie ujawni całej intymności. Diarysta może odwołać się do prawa, które ochroni jego własność do czasu wyznaczonego. Ale właśnie — do czasu. Nie ma takiego przepisu w kodeksie państwowym i naukowym, który by chronił tekst wiecznie. Żeromski, Nałkowska, Dąbrowska mają swych edytörów świadomych rzemiosła i taktownych. Trzy kropki

² Plagiat, a raczej adaptacja formuły Dawida Hopensztanda: „*Apellatio a auctore melius informato ad auctorem peius informatum*” (*Mowa pozornie zależna w kontekście «Czarnych skrzydeł»*, W: *Stylistyka teoretyczna w Polsce*. Pod red. K. Budzyka, Warszawa 1946, s. 302 i in.).

³ Być może, że część tych rozróżnień genologicznych to na poły świadomy plagiat z referatu Małgorzaty Czerwińskiej pt. *Rola odbiorcy w liście i dzienniku*, wygłoszonego na XIV Konferencji Teoretycznoliterackiej w Ślemieniu pod Żywcem w dniu 7 lutego 1975 r. po południu.

w nawiasach sygnalizują opuszczenie. Ale jak długo będziemy przestrzegali zasad przyzwoitości? Najsurowsza zasada, jaką można by sobie wymyśleć, wyznaczałaby jako najdalszą granicę dyskrecji zgon ostatniego dziecka ostatniego z bohaterów dziennika. Ile to lat od daty zapisu? Teoretycznie nawet sto lat

Dziennik jest utworem fabularnym, którego fabuły autor nie może dowolnie kształtować, albowiem w momencie pisania nie zna jeszcze swych dalszych losów. Z drugiej jednak strony pisanie dziennika skłania do modelowania i stylizowania własnego życia. Postulatowi szczerości przeciwstawia się postulat konwencji artystycznej. Postulatowi kompozycji przewidzianej sprzeciwia się z kolei swoista aleatoryka sztuki diarystycznej. Diarysta systematyczny podobny jest do namiętnego gracza w kości: zapisuje kombinacje, które już „wyszły”, i stara się przewidzieć przyszłe rzuty.

Tylko że diarysta gra sobie w te kości nie tylko własnymi, lecz i cudzymi losami.

2

Diarysta czyni własną biografię przedmiotem oglądu publicznego — i to mu wolno, choć wystawa nie musi być interesująca. Ale diarysta publikuje także zawierzone mu życie cudze. I dlatego, drogi czytelniku, nim otworzysz gościnnie drzwi, nim się rozgadasz, widząc dobrą, jasną, pogodną twarz tego rozmówcy (jesteś złym fizjonomistą), nim wypijesz kieliszek wódki (nieprawda, że *in vino veritas*, ale prawda, że alkohol działa mowopędnie), zapamiętaj ostrzeżenie: strzeż się diarysty! Powinny być odpowiednie znaki w rodzaju ostrzegawczych znaków drogowych: uwaga, zakręt! uwaga, zwężenie jezdnii! uwaga niebezpieczeństwo poślizgu! uwaga, piszę dzienniki! Tylko kto ma ostrzegać? Onże piszący?

Do takich rozważań skłoniła mnie lektura *Dziennika* Wacława Kubackiego. Autor niepomny nauki, jaką otrzymał po wydaniu tomu pierwszego, wydał teraz tom drugi⁴. Nauki tej udzielili autorowi recenzenci, a przede wszystkim prof. Konrad Górski, który z precyzją filologa udowodnił, że rzeczony tom pierwszy to nie żadne dzienniki, ale pamiętniki, spisane po latach i dzienniki jedynie udające. Tyle tam było błędów i nieścisłości, których żadnym sposobem nie mógł być popełnić ktoś notujący z dnia na dzień.

Czy tom obejmujący lata 1959—1965 jest autentycznym dziennikiem? Nie wiem i przyjmuję z dobrą wiarą, że nie ma tu żadnych manipulacji genologicznych... Jeśli jednak piszę „autor niepomny

⁴ W. Kubacki: *Dziennik 1959—1965*. Warszawa 1974, s. 309, 2 nłb. i fotografia autora w ubraniu jasnym, jednorzędowym.

nauki...”, to czynię tak z tej racji, że tom niniejszy, czyli drugi, pod wszelkimi innymi względami jest ciągiem dalszym i kontynuacją poetyki tomu obejmującego lata 1944—1958. Jest tu ta sama wzruszająca wiara w sprawiedliwą potomność, do której diarysta odwołuje się jak do trybunału, ta sama wiara w historię, która kiedyś zgani wszystkich niesprawiedliwych, czyli wrogów autora, jego zaś z palmą męczeńską w rękę posadzi po swej narodowej prawicy⁵. To więcej nawet niż wiara. To instynkt delatorski.

Historia jako odbiorca wirtualny — to nawet nie brzmi źle. Obraz autora jako obraz sprawiedliwego w Sodomie — to byłby temat! Niestety na tym obrazie jest skaza. Nie można bowiem jednocześnie odwoływać się do trybunału historii i publikować dzisiaj, już, teraz. Ja rozumiem, jak trudno oprzeć się pokusie pójścia w ślady Gombrowicza i jego sukcesu. Ale zarazem i nie rozumiem, bo przecież Kubacki ma zdrowy pogląd na przedwczesne ogłaszania dzienników za życia i słusznie gani megalomanię Gombrowicza i próżność Mauriaca: „Gombrowicz martwi się, że już wszystko napisał. Moim zdaniem zrobił to już parę razy pod rząd. Po *Ferdydurke* powtórzył swój główny i jedyny pomysł w *Trans-Atlantyku*, na wielu kartach *Dziennika* i w *Pornografii*” (s. 211) „*Kosmos* zaś pokazuje, jak łatwo dadaizować, surrealizować, archetypować i egzystencjalizować na dowolnie wybrany temat” (s. 273). „Ostry głód sławy u François Mauriaca. Skrzętnie notuje recenzje, wszelkie pochwały, listy od wielbicieli, życzliwe wzmianki, krytyczne uwagi i nieprzyjemne głosy. Pod tym względem *Journal d'un homme de trente ans* religijnego autora wcale się nie różni od *Dziennika* wielkiego egotysty Witolda Gombrowicza” (s. 243).

Wacław Kubacki jest z pewnością egotystą małym. Kontentują go więc ciche wzruszenia, jakim gości dają wyraz na widok jego gabinetu: „— To twoje biurko? Więc ty tutaj pisziesz? — zapytał z nutą czułości w głosie” (s. 89).

Pewnego dnia w Krościenku latem 1962 r. Wacław Kubacki zabrał się do lektury *Tagebücher* Hebbła i wynotował arcymądre zdanie, które głosi, że obowiązkiem każdego pisarza jest dostarczenie materiałów do własnej biografii, choćby ten pisarz niczego nadzwyczajnego nie dokonał, jego błędy bowiem są dla ludzkości tak samo ważne jak prawdy wielkiego człowieka (s. 180). Święta prawda! Niestety jednak znikoma jest autodydaktyczna skuteczność uprawiania literatury. Bo oto o błędach swych, błędzeniach czy pomyłkach (*Irrtü-*

⁵ Pod datą 17 I 1959 r. autor wspomina, że gdy podał kiedyś w wątpliwość katolicką prawowierność Mickiewicza, „rzucili się” na niego ludzie, „których trudno podejrzewać o religijne uczucia i wiarę w dogmaty — Jan Lechoń i Wiktor Weintraub”. „Liberałowie, niedowiarki i masoni — konkluduje autor — bronili Mickiewicza — katolika! W kraju sekundowali im formalści i strukturalści. A nawet jeden z redaktorów dawnej «*Kuźnicy*»” (s. 7).

mer) autor milczy. Mylą się inni. On nigdy. Świat jawi się prof. Kubackiemu w postaci złośliwego mechanizmu wymyślonego na utraipienie i udręczenie diarysty. Sufit przecieka. Z pensji profesorskiej zostaje trzydzieści kilka złotych do pierwszego (na szczęście są jeszcze kartofle w piwnicy). Autor idzie uiścić podatek wyrównawczy i musi wachać okropne zapachy z bankowej stołówki. Akademia Nauk nie chce płacić i za hotel, i za sleeping. Żeby pojechać na wakacje, trzeba podpisać umowę wydawniczą i potem pisać, pisać, pisać. Paszport nigdy nie jest na czas gotowy. Trzeba mieć zdrowie, żeby to znieść. Ale tego, kto to wszystko przetrzyma, czeka potem niebieska nagroda. Bez przenośni:

„Neapol, 1.VI.65. Poznałem bardzo miłą córkę Benedetta Crocego, która pracuje w bibliotece. Dzięki jej poleceniom otrzymałem osobną salę do pracy. Cała jedna szklana ściana wychodzi na zatokę. Mam dosłownie błękitny gabINET. Czytam błękitne dzieła. Wertuję błękitne periodyki. I piszę błękitnym inkaustem na błękitnym papierze” (s. 267).

Gatunki literackie są zbiorem reguł, wśród których niepoślednie miejsce zajmują nakazy i zakazy etyczne. Za cichy liryk biorę mniejszą odpowiedzialność społeczną niż np. za reportaż. Inna jest odpowiedzialność za tyrtejski poemat, inna za farsę. To miałem na myśli pisząc, że dziennik to gatunek, który nie tylko życie autora wystawia na pokaz, ale i fragmenty cudzego życia, gesty i słowa nieopatrznie diaryście powierzone.

Dziennik Kubackiego, rzecz rzadka raczej, opatrzony został indeksem osobowym jak dzieło naukowe. Zadałem sobie trud opatrzenia nazwisk tych osób, o których autor mówi dobrze, gwiazdkami, a tych, o których mówi źle — krzyżykami⁶. I co się okazało? Prawie same krzyżyki. Że Kubacki rzadziej kocha ludzi niż przeklina, jego sprawa, ale nie jego, nie prywatna, że spotwarza i to przy pomocy powołania świadka, który nie zaprzeczy i nie potwierdzi. Albo nie żyje, albo sędziwy i nie będzie mu się chciało.

Wierzyński o Lechoni i Brezie (s. 265 i n.), pewien nie wymieniony z nazwiska profesor o Kazimierzu Wyce⁷, Hłakowiczówna o Wojciechu Bąku (s. 160) — wszyscy mówią rzeczy niemiłe, niepochlebne, nieżyczliwe. Nie wiemy i nie dowiemy się, czy prawdą jest, że Dąb-

⁶ Plagiat z Witkacego, tu tym uzasadniony, że wszelkie plotkowanie i obmawianie jest z punktu widzenia teorii Czystej Formy — bebechowate.

⁷ Godzi się zauważyć, że Kazimierz Wyka żył, gdy *Dziennik* ukazał się drukiem. Śmiem przypuszczać jednak, że nigdy by nie replikował na insynuacje, zapisane pod datą 10 I 1962 r.: „Rozmawiałem ze znakomitym historykiem, profesorem UJ. Wspomniał, że w niedawnej przeszłości nie można było wydrukować krytycznej recenzji z książki Kazimierza Wyki *Teka Stańczyka* (s. 173).

rowska powiedziała to a to o pewnym krytyku literackim i że zachowała się tak i tak. A jeśli prawda, to zachowała się brzydko.

W Paryżu 29 września 1962 r. Wacław Kubacki usłyszał od prof. Stanisława Kota, że Julian Klaczko był synem Pelikana, rektora Uniwersytetu Wileńskiego, i pani Judele. Kot dowiedział się o tym od Stanisława Estreichera, który zastrzegł się, że to wiadomość do *przechowania*, lecz nie do *ogłoszenia*.

W tym przypadku — bo od śmierci Klaczki minie siedemdziesiąt lat — może trzeba było rzecz ogłosić (choć nie wiem, prawda to, czy nie), ileż jednak razy autor *Dziennika* niefrasobliwie (?) kabluje ze swego obserwatorium wiadomości, które mogłyby zostać w biurku. Jako historyk literatury prof. Kubacki powinien wiedzieć, że rozwiązywanie pseudonimów bez zgody zainteresowanego jest wykroczeniem przeciw etyce zawodowej (s. 20). Jako bywalec powinien wiedzieć, że człowiek zaproszony na obiad nie obgaduje potem publicznie gospodarzy (s. 120).

Mieszają się w *Dzienniku* grube nietakty i drobne gaffy. Są rzeczy, które można było „przechować”, których wszakże nie wypadało „ogłaszać”, ale są i takie, które ani na przechowanie, ani na zapamiętanie nie zasługiwały. Mieszkanie pewnej wybitnej pisarki było pono zaniedbane. Pewna poetka pomyliła Mickiewicza ze Słowackim. Zdarza się. Diarysta skrzętnie wszystko to notuje. Przypomina tym prymusa-skarżypytę, który podnosi palce i woła: Proszę pana, proszę pana, bo Marysia nie posprzątała, a Kazia mówi, że *Rozłączenie* napisał Mickiewicz.

Jerzy Ziomek